

Korporaszczyzna

AUTOR: HENRYK MAZURKIEWICZ

Korowód menedżerek czy specjalistek od PR stanowi dla twórców *Chłopek* pretekst do kreowania paralel między „wtedy” a „teraz”. Czy naprawdę można zestawiać niskie zarobki czy śmieciowe umowy ze skrajnym ubóstwem i brakiem podstawowych praw sprzed stu lat?

■ Nic się zasadniczo nie zmieniło. Dawna pańszczyzna przeistoczyła się w dzisiejszą „korporaszczyznę”, a codzienność biurowych pracowników okazuje się zadziwiająco zbieżna z losem chłopka z pierwszej połowy XX wieku. Wyzysk, poniżenie i mentalność folwarczna mają się dobrze. Patriarchat wciąż odciska swoje przekłete piętno na ciałach i umysłach kobiet, które nieustannie walczą o wolność. Niestety, legnickie *Chłopki* Jędrzeja Piaskowskiego i Huberta Sulimy nie oferują innych „sensacji”. Choć prowokacyjne w założeniach, nie zaskakują ani nie dodają świeżych, przełomowych refleksji. Zadowolają się szkicowaniem wątpliwych „żywotów równoległych”, które, gdy przyjrzeć się im bliżej, niewiele wnoszą do zrozumienia zarówno współczesności, jak i przeszłości.

Zawiedzie się również ten, kto oczekiwał, że Piaskowski i Sulima wiernie przeniosą na scenę głośną i niezwykle popularną książkę Joanny Kuciel-Frydryszak. Już plakat spektaklu, graficznie nawiązujący do okładki oryginału, zawierał słowo „zainspirowane”, które jasno sugeruje swobodną interpretację, a nie dokładną adaptację. I rzeczywiście: przedstawienie, poza ogólnymi motywami i kilkoma cytatami, niewiele ma wspólnego z pierwowzorem. Jak wyjaśnia notka programowa, twórcy wybierając „wątki z książki, umieszczają je w naszej teraźniejszości” i kreują „autorską, przerysowaną, przepełnioną czarnym humorem wizję naszego świata”. W ten sposób, tłumaczy reżyser, „rozwijając gest autorki, przyglądamy się, jak chłopskie korzenie i biografie naszych babek wpływają na nas dzisiaj”. To podejście trafnie streszcza podtytuł jednego z podcałów poświęconych książce: *Los babci we mnie*.

Gdy kurtyna przeciwpożarowa unosi się w górę, nie trafiamy na polską wieś z okresu

międzywojnia, lecz do nowoczesnego biura rodzinnej firmy DżemWar Inc. Minimalistyczna scenografia Anny Karczmarskiej i Mikołaja Małka ogranicza się do zaledwie kilku elementów: małych stolików, krzeseł, parawanów z roletami pionowymi oraz charakterystycznego pudła kserokopiarki, pełniącego funkcję swoistego totemu korporacyjnych rytuałów. Umowność tej przestrzeni, balansująca na granicy komiksowej abstrakcji, zostaje podkreślona przez umieszczony po prawej stronie metalowy szkielet drzwi na kółkach.

Aby lepiej wyobrazić sobie korporacyjną „faunę” zaludniającą te ubogie w detale „rewiry”, wystarczy przywołać w myślach galerię postaci z przeciętnego sitcomu o tego rodzaju miejscach – żywe wcielenia znanych klisz i memów. Z jednym istotnym zastrzeżeniem: w tym barwnym zespole część bohaterów odgrywana jest przez aktorów przebranych za kobiety. Niektórzy z nich, jak Paweł Palcat, wywiązując się z tego zadania, sprawnie balansują między naturalnością a zabawną karykaturą, podczas gdy inni, jak Łukasz Kucharzewski w roli Ani Kanapki – postaci przypominającej wrótkę na sterydach – przesuwają się w stronę cringe’u i postironii.

Korowód menedżerek, kadrowych, księgowych i specjalistek od PR stanowi dla twórców spektaklu pretekst do kreowania paralel między „wtedy” a „teraz”. Temu zabiegowi poświęcają dużo czasu i wysiłków. Problem w tym, że wiele z tych porównań wydaje się naciąganych, a momentami wręcz niesprawiedliwych wobec realiów, w których żyły nasze babce i prababce. Czy naprawdę można zestawiać niskie zarobki, śmieciowe umowy czy opóźnione wypłaty ze skrajnym ubóstwem i brakiem podstawowych praw sprzed stu lat?

A nawet jeśli przyjmiemy te analogie za zasadne, twórcy spektaklu nie wykorzystują ich pełnego potencjału. Nie podejmują próby odpowiedzi na kluczowe pytania: dlaczego jest tak, jak jest? Kto ponosi za to odpowiedzialność? Czy można coś z tym zrobić? I dlaczego wcześniejsze próby zmian zakończyły się fiaskiem?

Zamiast zgłębiać mechanizmy późnego kapitalizmu i wskazywać, co rzeczywiście go napędza, twórcy przedstawienia zużywają energię na schematyczne ataki, których kulminacją jest absurdalna w swej brutalności scena rozszarpywania Głównej Księgowej na kawałki. Jednocześnie trudno nie dostrzec ironii sytuacji, ponieważ wiele korporacji – ze swoją względną stabilnością finansową, ubezpieczeniami i licznymi benefitami – wydaje się bardziej przyjaznym miejscem pracy niż instytucje teatralne, z których desek wybrzmiewa cała ta krytyka „korpokosmosu”. Chyba że rzeczywiście w biurach dochodzi do równie obrzydliwych ekscesów, jak te pokazane w spektaklu: szefowa firmy (Małgorzata Urbańska) zmusza stażystkę (Aleksandra Listwan) do zlizywania jogurtu z podłogi, a w ramach „kreatywnej zabawy” nakazuje jej muczeć jak krowa i skanuje jej piersi w kserokopiarce.

Po przerwie przedstawienie na chwilę przywołuje nonszalancki klimat wczesnych spektakli innego duetu – Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. Zespół DżemWar Inc. postanawia uczcić jubileusz matki szefowej, babci Heleny, przygotowując – jak sami to nazywają – „fraszkę” o rodzinie Ulmów. Próby jednak szybko grzęzną w martwym punkcie. Aktorzy amatorzy nie potrafią znaleźć pomysłu na ujęcie tak trudnego i delikatnego tematu. Po kilku nieudanych podejściach, w otoczeniu improwizowanej scenografii – tekturowej świni i płotu

– zaczynają z entuzjazmem dryfować w stronę kiczu i błazenady. Punkt kulminacyjny absurdu osiągają w scenie, gdy niemiecki żołnierz, strzelający do zaskoczonych domowników, wydaje głośnie dźwięki „tra-ta-ta-ta”. Te sztubackie zabawy w „dubbingowanie” rzeczy martwych stają się jednym z charakterystycznych elementów spektaklu. Zabieg ten najczęściej służy jednemu celowi: rozbawieniu publiczności.

Mimo to przez większość czasu słyszymy nie śmiech, lecz słowa. Czasami trafiają one w sedno, precyzyjnie jak kule, ale znacznie częściej dialogi sprawiają wrażenie na wpół improwizowanych i niedopracowanych dramaturgicznie. Zaprojektowany przez Piaskowskiego i Sulimę emocjonalny rollercoaster – pełen szybkich, niespodziewanych zmian perspektyw i żonglerki gatunkami – nie wydaje się jednak skonstruowany po to, by zastawiać pułapki na widza. Brakuje momentów, w których śmiech więźnie w gardle, a komizm zamienia się w refleksję. Zamiast tego pozostaje wrażenie, że mamy do czynienia z konstrukcją stworzoną jedynie po to, by uzasadnić montaż kolejnych atrakcji.

Zastanawiam się nawet, czy po początkowej inspiracji książka Joanny Kuciel-Frydryszak nie zaczęła Sulimie przeszkadzać, nieustannie domagając się obecności w całym przedsięwzięciu. Różnica w podejściu tych dwojga twórców wydaje się aż nazbyt wyraźna. Kuciel-Frydryszak za cel postawiła sobie

oddanie głosu tym, które dotąd były go pozbawione. Mozolnie gromadziła zdjęcia, listy, wspomnienia oraz pisane niepoprawną polszczyzną notatki, dokumentując niezmyślane historie. Sulima natomiast swobodnie korzysta z gotowego katalogu klisz. Miał do tego pełne prawo, ale w tym przypadku polifonia świadectw wygrywa z mozaiką jego autorskich pomysłów.

Poruszyła mnie jednak scena, w której babcia Helena (wrażliwa i przekonująca Anita Poddębniak), Wołynianka z przeszłością naznaczoną tragedią, niespodziewanie odzyskuje młodzieńczy wigor i wciąga do tańca Angelikę – a właściwie Lubę. Chwilę wcześniej rozpoznając ukraiński akcent dziewczyny, uznała ją za Anioła Śmierci, który przyszedł po nią. „Bo tam, gdzie Ukraińcy – tam śmierć” – stwierdza, jakby było to powszechnie znane prawo natury. Teraz, tańcząc powoli z Lubą, cicho nuci hymn ukraińskich nacjonalistów. Zdezorientowana i wzburzona stażystka – w świetnym wykonaniu Darii Bogdan, grającej tu gościnnie członkini Teatru GAS – po chwili kontratakuje. Tłumaczy, dlaczego uznaje Stepana Banderę za bohatera i broni jego pomników w ukraińskich miastach. Nie przypominam sobie, by te kwestie – wciąż trudne i bardzo kontrowersyjne – zostały kiedykolwiek wyrażone w teatrze z tak rozbrajającą bezpośredniością. Był to jedyny moment spektaklu, który podjął realne ryzyko i rzeczywiście zaskoczył.

Poza tym, zbyt wiele rozwiązań w tym przedstawieniu skłania do zakwalifikowania go do kategorii „zmarowanych szans”. To szczególnie bolesne, zważywszy na fakt, że Teatr Modrzejewskiej, w którym powstały tak wyraziste propozycje jak *Droga śliska od traw. Jak to diabeł wsią się przeszedł* i *Wierna Wataha* Pawła Wolaka i Katarzyny Dworak, *Zanim chłodem powieje dzień* Pawła Kamzy czy *Rzeź* Krzysztofa Kopki o rabacji galicyjskiej, zdawał się idealnym miejscem dla precyzyjnego opracowania tego tematu. Trudno bowiem znaleźć inny teatr w Polsce, który tak konsekwentnie i bezkompromisowo podejmowałby temat wsi i małych wspólnot wiejskich, obnażając mechanizmy przemocy i obłudy kryjące się za fasadą pobożności i pozornej jedności. Tym razem zabrakło jednak wyrazistego głosu, który mógłby do tej tradycji dodać coś równie przenikliwego.

Nie wykluczam jednocześnie, że spektakl – lekki, kolorowy, niewymagający i niewiewierający – może przypaść do gustu wielu widzom, zwłaszcza jeśli ich poczucie humoru jest zbliżone do tego, jakie zaprezentowali twórcy. Być może jestem zbyt surowy w swojej ocenie. Niemniej jednak pozostanę przy przekonaniu, że nie tyle naszym babciom i prababciom, ile nam – ich wnukom i wnuczkom – należało się coś więcej. Mamy prawo tego oczekiwać. Jeśli coś zmieniło się w ciągu ostatnich stu lat, to świadomość, że wolno nam stawiać wyższe wymagania wobec siebie i innych. ■

TEATR IM. HELENY
MODRZEJEWSKIEJ
W LEGNICY

*Chłopki. Opowieść o nas
i naszych babkach*
zainspirowane książką
Joanny
Kuciel-Frydryszak

koncepcja
Jędrzej Piaskowski,
Hubert Sulima
tekst, dramaturgia
Hubert Sulima
reżyseria
Jędrzej Piaskowski
scenografia
Anna Maria
Karczmarska,
Mikołaj Małek
kostiumy
Rafał Domagała
reżyseria światła
Klaudyna Schubert
muzyka
Jacek Sotomski

premiera
9 listopada 2024

Scena zbiorowa

